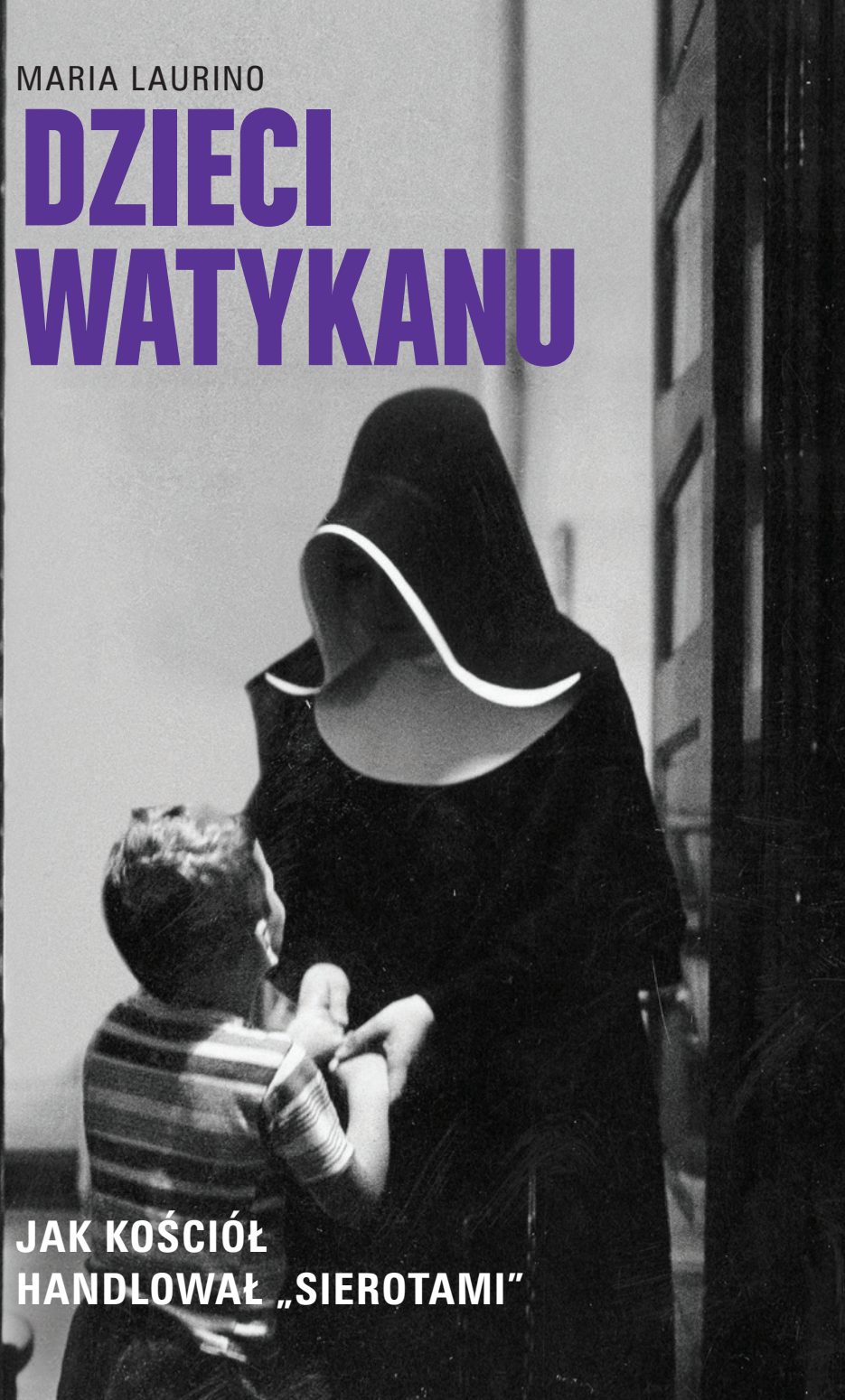


MARIA LAURINO

DZIECI WATYKANU



JAK KOŚCIÓŁ
HANDLOWAŁ „SIEROTAMI”

MARIA LAURINO

DZIECI WATYKANU

JAK KOŚCIÓŁ
HANDLOWAŁ „SIEROTAMI”

Przełożyła Anna Halbersztat

znak *litera
nova*

Kraków 2025

Tytuł oryginału
The Price of Children

Copyright © 2023 by Maria Laurino

Copyright © for the translation by Anna Halbersztat

Projekt okładki
Magda Kuc

Fotografia na okładce
© Daniel J. Ransohoff/Cincinnati Museum Center/Getty Images

Redaktorka nabywająca
Milena Rachid Chehab

Redaktorka prowadząca
Dominika Ziemba

Redakcja
Marek Szpanowski

Opracowanie tekstu i przygotowanie do druku
d2d.pl

Projekt typograficzny i łamanie
Robert Oleś

Opieka produkcyjna
Helena Piecuch, Karolina Korbut

Opieka promocyjna
Monika Burchart | burchart@znak.com.pl

ISBN 978-83-240-9656-5

Książki z dobrej strony: www.znak.com.pl
Więcej o naszych autorach i książkach: www.wydawnictwoznak.pl
Społeczny Instytut Wydawniczy Znak
ul. Kościuszki 37, 30-105 Kraków
Dział sprzedaży: tel. 12 61 99 569, e-mail: czytelnicy@znak.com.pl

Wydanie I, Kraków 2025
Druk: Abedik

Część pierwsza

Dziecięce bučki nigdy nienoszone

Rozdział pierwszy

Turyn, 1963

Piękne miasto, które już od dworca kolejowego przywitało Francescę eleganckimi łukowatymi portykami i szerokimi, olśniewającymi bogactwem bulwarami, powinno było rozbudzić tę ładną ciemnowłosą dwudziestotrzylatkę. Przyjechała przecież z niewielkiego, prowincjonalnego miasta na południu Włoch. W innym momencie życia Franceski lśniący złotym blaskiem w pełnym słońcu Pad kusiłby, żeby pospacerowała wzdłuż jego brzegów. W innym czasie Francesca weszłaby do jednej ze słynnych starych kawiarni, wyłożonych złotymi lustrami i z marmurową posadzką. Napawałaby się tym doświadczeniem, oddychając głęboko i z walącym sercem, radośnie korzystając z młodości i odkrywając świat. Ale gdy tamtej wiosny Francesca przybyła do Turynu, rozpoczął się całkiem inny okres. To był czas jej znikania.

Poprzedniej jesieni pracowała jako zbieraczka oliwek w Apulii – kontynuowała tradycję długiej linii swoich przodków, uprawiających oliwki i tłoczących z nich oliwę. Delikatnie potrzasała gałęziami niewielkich drzew, a pulchne, dojrzałe owoce spadały na plandekę u jej stóp. Była to ciężka praca, dni

długie i gorące, ale pewnej nocy otrzymała małą nagrodę. Jej szef, w którym się podkochiwała, zaproponował, że podwiezie ją do domu. Francesca była zachwycona, choć nie przewidywała, że szef wybierze trasę prowadzącą nad lazurowe morze i zatrzyma się przy pokrytym strzechą *trullo*, typowym dla regionu domku zbudowanym z wapienia. W tym konkretnym *trullo* mieściły się bar i zajazd, który miał swoją tradycję wśród miejscowych mężczyzn.

Na początku próbowała ukryć przed matką zmieniające się powoli ciało, wyparcie było jedyną strategią radzenia sobie z tym, co wydarzyło się tamtej nocy. Jednak po czterech miesiącach ich domek, wyrzuszony i pęczniejący od krzyków i oskarżeń, znalazł się na krawędzi wybuchu. Francesca słyszała, ale już nie słuchała, zamknięta we własnych myślach i pragnieniach. Jedna kwestia była jasna: nie miała wyboru, musiała opuścić wioskę.

Podróż pociągiem do Turynu okazała się męcząca – ponad piętnaście godzin w dusznym wagonie pędzącym na północ. W ciasnej przestrzeni zamkniętego przedziału Francesca siedziała naprzeciwko swojego starszego brata, karabiniera stacjonującego właśnie na północy – wrócił do domu zde-terminowany, aby zmyć plamę, która zbrukała jego rodzinę. Dziewczyna patrzyła przez okno na jałową okolicę, a niekończące się połacie w odcieniach żółci i brązu stały się w jej oczach mglistą smugą, gdy jej brat dawał upust swojej furii. *Disgraziata!* Jego upokarzające wyrzuty, wygłaszane w imię moralnego autorytetu i braterskiego obowiązku, wisiały w powietrzu z mdłym posmakiem przypominającym tanie cygaro. „Zrujnowałaś naszą rodzinę”.

Carabinieri zabrał Francescę do domu ich siostry, która mieszkała w Turynie. Francesca klóciła się z nimi obojgiem. Desperacko pragnęła zatrzymać dziecko. Nie chciała zniknąć. Ale wysłali ją do domu dla niezamężnych matek, prowadzonego przez zakonnice, w którym zarabiała na swoje utrzymanie, sprząając, i poznała inne kobiety w podobnej sytuacji. Kobiety, które zostały kiedyś zgwałcone, uwiedzione i porzucone, naiwnie nieświadome w sprawach seksu i ciąży, lub kochanki mężczyzn wykształconych w sztuce moralnej manipulacji. Powstanie tego domu było możliwe dzięki charytatywnym wpłatom turyńskiej klasy wyższej, w tym żony słynnego dyrektora Fiata. Przebywały w nim kobiety z północy i południa Włoch, odizolowane, zmuszone odpokutować za swoje grzechy, podczas gdy mężczyźni nie ponosili żadnej odpowiedzialności.

Dzień rozpoczynał się od pięciokrotnego odmówienia różańca, a kończył się tą samą szeptaną litanią, każdy z paciorków oznaczał kolejne sto pięćdziesiąt powtórzeń modlitwy o łaskę Dziewicy. Jeśli Francesca uciekła, choćby na chwilę, przed codziennymi wyrzutami swojej rodziny, teraz szukała rozgrzeszenia przed znacznie większym autorytetem, tym wiecznym. Czas spędzony w tym domu klasztorze przypominał obudzenie się w świecie pokrytym pajęczyną – zasłona wstydu przysłałała wszystko, wraz z całym ciałem dziewczyny, które ją zdradziło.

Podczas apatycznego oczekiwania, aż organizm będzie gotowy do porodu, zakonnice przygotowywały kobiety do ich wkrótce bezdietnego świata, szkoląc je w pracach domowych. Niegdyś niezgrabne palce uczyły się szyc jedwabnymi niciami

oraz zawijać pastelowe włóczki wokół drutów. Potem zakonnice zabierały podopieczne do niewielkiego sklepu w centrum miasta, a zyski ze sprzedaży rękodzieła pomagały utrzymywać dom. Podczas jednej z bardziej okrutnych życiowych lekcji nauczyły Francescę, jak wydzierać dziecięce buciki.

Kiedy nastała jesień, Francescę wysłano do turyńskiego szpitala położniczego na specjalny oddział przeznaczony dla grzesznic. Kobieta, która nosiła swoje dziecko przez dziewięć miesięcy, która w męczarniach urodziła syna Piera, bo takie imię wybrała dla niego już wcześniej, która karmiła go przez kilka bezcennych dni i która rozpaczliwie chciała go zatrzymać, miała zostać wymazana. Na oddziale położniczym miała nazwisko oraz dziecko, ale cztery dni później nie posiadała już ani jednego, ani drugiego. W kolejnych dniach i latach musiała znaleźć w swoim sercu inny zakątek, wolny od nieznośnego smutku po porzuceniu pierworodnego. We włoskim akcie urodzenia jej syna, zapieczętowanym przed wścibskimi spojrzzeniami na kolejny wiek – co uniemożliwiało matce zdobycie informacji o synu, a zarazem zapewniało, że syn nigdy nie znajdzie matki – zapisano: *nato di donna che non consente di essere nominata*, urodzony przez kobietę, która nie wyraziła zgody na podanie swojego nazwiska.

Nie miało znaczenia, że Francesca pozostała w Turynie przez kolejne trzy lata, aby być blisko dziecka. Pracowała jako niania u zamożnej rodziny i w rysach małego chłopca, którym się zajmowała, wyobrażała sobie Piera. Nie miało znaczenia, że Francesca wielokrotnie wracała pod bramy sierocińca, chcąc odzyskać synka.

– Daj spokój, kobieto – powiedziała w końcu matka przełożona, zdecydowana położyć kres jej wizytom. – Twoje dziecko zostało wysłane do Ameryki. Jest w *dobrej* rodzinie.

Nie miało znaczenia, że słowa zakonniczy były kłamstwem – Piero został „zarezerwowany” dla konkretnej amerykańskiej pary, przez dwa kolejne lata mieszkał w sterylnym pokoju wypełnionym łóžeczkami płaczących dzieci, czekając, aż formalności zostaną załatwione, a wiza uzyskana, aby umożliwić międzynarodową adopcję. Nic nie miało znaczenia, ponieważ Francesa była już duchem. W oczach Kościoła bezimienna i bezdzietna, oficjalnie zniknęła.

*

Francesca dorastała w czasach, gdy Kościół rzymskokatolicki wyznaczał nie tylko kalendarz pór roku, ale także rytm życia kobiet. W nie tak odległym okresie, kiedy młode kobiety, naiwne, niedoświadczone przez życiowe zawiłości i sprzeczności, wpadały w tarapaty lub były zmuszone do zapłacenia za złą decyzję, która została podjęta i będzie podejmowana niezliczoną ilość razy w historii ludzkości. Kobiety stłoczone niczym słoneczniki na polach rozciągających się daleko poza zasięg wzroku, z głowami pochylonymi w cichym wstydzie.

Ich istnienia pojawiają się jako cyfry w krajowych statystykach: dziesiątki tysięcy włoskich kobiet, które oddały swoje dzieci; pod koniec lat pięćdziesiątych ponad dwieście tysięcy¹ z tych dzieci korzystało z pomocy społecznej; te, którym udało się uciec przed dzieciństwem spędzonym w placówkach opiekuńczych dzięki adopcji przez włoskie pary; niemal

cztery tysiące innych, takich jak syn Franceski, wysłanych komercyjnymi liniami lotniczymi do Ameryki. Liczby tak wielkie, że tracą znaczenie, kolumny w arkuszach, niemogące podsumować kosztów każdej bolesnej decyzji ani zmierzyć trudnych do zagojenia ran. Z historią, która przydarzyła się Francesce i podobnym do niej, każda kobieta może się utożsamić, a w skrytości ducha też się jej lękać: bać się koszmaru życia w społeczeństwie, w którym potężna religia i przychylny jej rząd dyktują bieg twoich dni.

Kościół rzymskokatolicki nadawał tym tysiącom dzieci wysłanych do Ameryki najpierw status „sierot wojennych”, a następnie po prostu „sierot” i umieszczał je u bezdzietnych par, które witały je z otwartymi ramionami². Głównym wymogiem wobec tych par było pobożne praktykowanie wiary katolickiej. Kościół realizował cały program, mimo że naruszał on włoskie prawo, na co agendy rządowe wielokrotnie zwracały uwagę watykańskim urzędnikom. Mimo to program działał w najlepsze. Dzieci otrzymywały wizy dzięki specjalnej klauzuli dodanej w 1950 roku do amerykańskiej ustawy o przesiedleńcach [Displaced Persons Act]³, w zamierzeniu będącej aktem hojności wobec dzieci, które straciły rodziców podczas II wojny światowej. W rzeczywistości jednak poprawka zapewniała stały napływ nieślubnych dzieci do adopcji – od 1951 roku aż do końca lat sześćdziesiątych.

Odkryłam tę przerażającą historię przypadkiem, podczas rozmowy telefonicznej pewnego sobotniego poranka. Był to jasny majowy dzień, światło słoneczne odbijało się od białej

cegły sąsiedniego budynku i wpadało przez rozchylone zasłony, zabarwiając nasz parkiet na miodowy kolor. Kończyłam kawę i dojadłam jogurt, jak zwykle opóźniając wyjście na siłownię. Wolałam relaksować się w słońcu, gdy nagle zadzwoniła moja komórka.

– *Buon giorno, cugina!*

Natychmiast rozpoznałam głos mojego kuzyna. Wychowany w Ohio i mieszkający na południu Florydy, nie mówi po włosku – nie inaczej niż pozostali członkowie naszej rodziny – a swoje powitanie wygłosił z przesadnym akcentem i płaskimi samogłoskami rodem z amerykańskiego Środkowego Zachodu. Kuzyn szukał porady w sprawie podróży, próbując poruszać się po labiryncie bliźniaczych lotnisk w Nowym Jorku, gdzie mieszkam, aby wyruszyć w drogę do Mediolanu. Jego pierwotny lot został odwołany, a on rozpaczliwie szukał innego połączenia. Od miesięcy skrupulatnie planował samotną przejażdżkę rowerową po Włoszech, mierzył sakwy, ważył sprzęt na swoją liczącą ponad trzy tysiące kilometrów podróż i nie chciał stracić ani jednego dnia. Mój kuzyn tęskni za powrotem na włoską ziemię trochę tak jak światło, raz rozbłysnąwszy pod wodą, nie może od niej na dobre uciec – tkwi pod powierzchnią, która je uwięziła.

Urodził się we Włoszech, co być może jest powodem tego magnetycznego przyciągania, które co jakiś czas podsyca jego fantazje o powrocie do ojczyzny. Został adoptowany przez siostrzenicę mojego ojca, pielęgniarkę, oraz jej męża lekarza, mieszkających w małym miasteczku w Ohio. Kuzyn przybył do Ameryki 16 kwietnia 1959 roku, w wieku

dziewięciu miesięcy, na tydzień przed moimi urodzinami. W tamtych czasach rodziny nie rozmawiały o szczegółach adopcji, a moi rodzice założyli, że zawarto umowę z włoskim lekarzem, w ramach zawodowej uprzejmości, i połączono potrzebujące domu dziecko we Włoszech z lekarzem i pielęgniarką w Ameryce, którzy mogli mu go zapewnić. Zgodnie z nieco plemiennym podejściem, typowym dla wielu rodzin, korzenie mojego kuzyna były mile widzianym dodatkiem. Moi dziadkowie z obu stron przybyli do wybrzeży Ameryki z Avellino i Basilicaty na początku XX wieku, kuzyn był więc prawdziwszym Włochem niż ktokolwiek z nas.

Podczas tamtej sobotniej rozmowy, kiedy mój mąż sprawdzał w aplikacji, czy korki pozwolą dotrzeć o wyznaczonej godzinie z lotniska LaGuardia, krajowego węzła komunikacyjnego, na lotnisko Kennedy'ego i lot do Mediolanu, kuzyn podzielił się intrygującą informacją. Niedawno dołączył do zamkniętej grupy na Facebooku składającej się z setek osób, obecnie głównie w średnim wieku, wszystkich urodzonych we Włoszech i adoptowanych przez amerykańskie pary w ramach tego samego programu prowadzonego przez Kościół katolicki.

– Rozmawiałem z administratorem tej grupy i powiedział mi coś niesamowitego: wiedział, jakim lotem przyleciałem jako dziecko! – Mój kuzyn, z natury entuzjastyczny, mówił szybko, bo był pod presją czasu.

Rozmawiał też z innymi członkami grupy. Jeden z nich (jak się okazało, wychowany w tym samym co kuzyn małym miasteczku w Ohio) wyrzucił z siebie strumień niepokojących historii, jakie usłyszał na temat ówczesnych sposobów

traktowania matek biologicznych i ich dzieci. Przetwarzałam te informacje, próbując znaleźć w nich sens, ale po chwili całe akapity zostały skondensowane do pojedynczych zdań, a następnie do skupisk słów, które unosiły się w mojej głowie: Kościół rzymskokatolicki. Tajemnice. Księża. Tysiące. Fałszowane dokumenty. Martwe dzieci. Zakonnice. Przymusowe adopcje. Kłamstwa.

– Wyobrażasz to sobie? Być może moja biologiczna matka wciąż żyje i nawet nie wie o moim istnieniu.

Czy tym internetowym plotkom towarzyszyła gra w głuchoy telefon między adoptowanymi, w której fakty szeptane do ucha mutowały w szokujące opowieści? Czy może te historie stanowiły część większej zagadki, którą należałoby rozwiązać? Czy niektórym młodym kobietom powiedziano, że ich dziecko zmarło, by ułatwić proces adopcji, co mogłoby stać za wybuchem emocji mojego rozmówcy?

– Myślę, że zdąży na ten lot – oznajmił mąż, wyrывая mnie z otępienia.

Moje myśli na powrót bezpiecznie wylądowały.

– Weź lot z przesiadką na LaGuardii, a potem łap taksówkę na Kennedy’ego.

– Świetnie, na to właśnie liczyłem. Już znalazłem kogoś, z kim pojedę taryfą. Dzięki...

– Zaczekaj! Gdzie znaleźć więcej informacji na temat tej historii? – zapytałam ostro, zaskoczona siłą swoich słów i rosnącą adrenaliną. Za sprawą dzieciństwa spędzonego w szkółce niedzielnej, cotygodniowych mszy i ciemnych konfesjonatów znałam siłę katolicyzmu w kształtowaniu dziewczęcych ciał i dusz.

– Facet, który prowadzi tę grupę, nazywa się John Campitelli. Mogę spróbować cię z nim skontaktować. Mieszka we Włoszech i opowiedział mi o sierocińcu w Turynie. Zaproponował nawet, że mnie tam zabierze. Hej, naprawdę muszę już kończyć.

Kuzyn doleciał do Mediolanu następnego dnia, był 2017 rok, a on zaczął swoją miesięczną samotną wyprawę rowerową po Włoszech. Odrzucił ofertę Johna Campitellego, by zobaczyć nieczynne już *brephotrofio*⁴ w Turynie. Nazywano tak włoskie instytucje dla nieślubnych dzieci, a słowo to, ukute w XIX wieku i zaczerpnięte z greckiego, wiązało się znaczeniowo z wychowywaniem i karmieniem noworodków. Mój kuzyn od początku obawiał się otwarcia drzwi, przez które ostatecznie postanowił tylko zerknąć. Ja jednak weszłam, a to, czego się dowiedziałam, było znacznie gorsze od tego, co sobie wyobraziłam owego dnia: głosy matek i dzieci, ból całego pokolenia, zawsze przemawiają głośniejsze niż zdystansowany zbiór faktów i liczb.

Zgodnie z obietnicą mój kuzyn napisał do Johna Campitellego i wkrótce nawiązaliśmy kontakt, by rozpocząć serię długich rozmów telefonicznych oraz wymianę maili i SMS-ów. John przekazał mi mnóstwo informacji, które wcześniej zebrał i skatalogował. Dowiedziałam się, z jak niezwykłą determinacją, cierpliwością oraz wytrwałością szukał swojej matki – od dzieciństwa przez całe dziesięciolecia. Przekazał mi istotną wskazówkę, jak odblokować sekrety programu: wiele archiwalnych dokumentów zmagazynowano w pudłach w Nowym Jorku, kilka kilometrów od miejsca, w którym mieszkałam.

Nie mogłam uwierzyć w ten geograficzny zbieg okoliczności. Całe lato spędziłam wtedy, czytając i fotografując sterty korespondencji między dwoma amerykańskimi księżmi: Andrew P. Landim, prowadzącym program w Rzymie, oraz Emilem N. Komorą, który ze swojego nowojorskiego biura znajdował domy dla dzieci w całym kraju. Dowiedziałam się, że ksiądz Landi odpowiadał przed prałatem Ferdinandem Baldellim w Watykanie, bliskim współpracownikiem papieża Piusa XII. Baldelli miał kluczowe znaczenie dla dużego zasięgu całego programu z racji wpływu, jaki wywierał na różne kręgi – poczynawszy od duchownych, a skończywszy na ministrach w rządzie. Pośród tych akt znalazłam nawet notatkę o planowanym przybyciu mojego kuzyna (sprawa 21048)⁵ do Stanów Zjednoczonych.

Następnym krokiem było spotkanie z Johnem Pierre'em Battersbym Campitellim i podróż do miejsca będącego emocjonalnym centrum tej historii. Akt urodzenia Johna mówi, że przyszedł na świat 23 września 1963 roku jako Piero Davi. Jest synem Franceski. Po tym, jak dwa lata spędził w turyńskim *brefotrofio*, adoptowała go amerykańska para z Nowego Jorku – Russell Campitelli i Barbara Battersby Campitelli, którzy dali mu na imię John. Barbara i Russell adoptowali także troje innych dzieci: bliźniaków, starszych braci Johna, oraz dziewczynkę, jego młodszą siostrę, wszystkie z tej samej turyńskiej instytucji.

Dziś John mieszka pod Mediolanem ze swoją włoską żoną Simoną i z dwiema córkami. Rok po niespodziewanym telefonie kuzyna wsiadłam do samolotu, aby się z nimi zobaczyć.

Mówiąc precyzyjniej, było to dziesięć miesięcy później – tyle zajęły „bóle porodowe”. Odkąd dowiedziałam się o tej historii, ciężko pracowałam, próbując znaleźć sens w jej dziwacznych szczegółach oraz pokręconej logice, i wyobrażałam sobie mężczyznę, jakim stał się Piero.

JAKIE GRZECHY NADAL UKRYWA KOŚCIÓŁ?

Turyn, rok 1963. Do miasta przyjeżdża Francesca, córka ubogich włoskich rolników. Nie będzie tu jednak cieszyć się życiem i spędzać czasu w urokliwych kafeteriach. Dziewczyna musi zniknąć – jest niezamężna i w ciąży, a to plama na honorze rodziny.

Francesca trafia do prowadzonego przez zakonnice ośrodka z nadzieją na pomoc ze strony Kościoła. Krótco po porodzie słyszy jednak, że jej synek został już adoptowany przez „dobrą” rodzinę w Ameryce. Od tej chwili nie jest już jego matką.

NIGDY NIE WYRAZIŁA NA TO ZGODY.

Jej los podzieliło wiele młodych Włosek żyjących w świecie opętanym obsesją dziewictwa i czystości. Od lat 50. do 70. XX wieku amerykańskie rodziny za pośrednictwem katolickich organizacji nielegalnie adoptowały tysiące włoskich dzieci, nieświadomie budując swoje szczęście na tragedii ich matek.

Maria Laurino ujawnia ogromną skalę procederu zorganizowanego przez wysokich rangą księży i zakonnice. Dziennikarka wysłuchała opowieści rozdzielonych rodzin, aby odsłonić kolejne ciemne karty współczesnej historii Kościoła katolickiego.

NADSZEDŁ CZAS, BY ROZLICZYĆ WATYKAN Z LAT MILCZENIA.

Cena 54,99 zł

znak
KSIĘGARNIA

E-book dostępny na
woblink.com

ISBN 978-83-240-9656-5



9 788324 096565